

Rozdział 1

Karuzela kolorowych świateł zamiatała podjazd dla karettek. Sygnał wyłączono zaraz po wjeździe na teren Szpitalnego Oddziału Ratunkowego. Panowie w czerwonych kombinezonach, z napisem na plecach „ratownik medyczny”, transportowali na noszach młodą kobietę. Zanim pochłonęło ich gardło wahadłowych drzwi, kierowca karetki wyłączył koguta.

— Co mamy? — Brodacz w białej koszulce podbiegł do noszy.

— Nie ogarnęła MDMA.

— Motoryka?

— Ujdzie.

— Daj ją do trójki.

Pacjenci ulokowani w poczekalni przypominali manekiny porzucone w sklepowym magazynie. Z twarzy nie dało się wyczytać powodów, które skłoniły ich do wizyty w placówce. Zasady jasno określały warunki predysponujące do wnioskowania o pomoc na SOR-ze, ale niektórzy unikali przychodni rejonowych z powodu konieczności umówienia się na wizytę z wyprzedzeniem. Stąd personel medyczny nie mógł odesłać pacjenta do domu bez wstępnej diagnostyki, czego często nadużywali.

Dziewczyna z karetki miotła się między miłością do całego świata a strachem. Brodaty ratownik rozsunął jej powieki, spodziewając się zobaczyć powiększone źrenice, i nie pomylił się. Próbowwała usiąść, ale powstrzymał ją, przyciskając delikatnie do materaca. Spod półprzymkniętych powiek starała się ogarnąć przestrzeń, rozmyte widzenie nie ułatwiało zadania.

— Co brałaś? — Przyglądała się mężczyźnie, nie do końca pojmując sytuację. Wreszcie uśmiechnęła się i wybełkotała:

— Tabsy. Wsyпали mi. — Głowa opadła na lewe ramię, odbijając się od niego w drugą stronę. Przypominała pieska siedzącego na desce rozdzielczej samochodu, machającego główką w rytm kolein, w które zapadał się pojazd.

— Jakie tabsy, wiesz? — Nie zareagowała. Chwyił głowę na wątlej szyi i zmusił, żeby spojrzała na wprost.

— No dropsy, mówię przecież. Batman, Snowball, UFO, panimajesz? — wyliczała dziewczyna.

— Jedną, dwie, ile? — naciskał.

— Love, Aligator, Mitsubishi — wymieniała dalej.

— Jasne. Jakbyś wszystkie zarzuciła, gadałabyś ze świętym Piotrem.

— Wsyпали mi, przecież mówię. — Kołysała głową.

— Jedną ci wsypali, a pozostałe wzięłaś, bo tak.

— A jak. — Wybuchła śmiechem.

Patrzył spokojnie i czekał. Wahania nastrojów w tego typu przypadkach stanowiły normę. Wiedział, że zanim

zostanie przewieziona na oddział, zafunduje im karuzelę emocji od wesołkowatości po strach. Pojawią się omamy, wymaginowane postaci.

— Dajesz też po kablach? — Sprawdził żyły. Nienakłute.

— Nie jestem grzejnikiem! — krzyknęła i wyrwała rękę.

Ecstasy uchodziło za bezpieczny halucynogen, nieuznawany na świecie za narkotyki w stereotypowym rozumieniu.

Wiele osób uważało, że nie można uzależnić się od weekendowego zażywania, bo najczęściej przyjmowano go na imprezach dla zwielokrotnienia doznań. Problem polegał na tym, że około osiemdziesięciu procent „tabletek szczęścia” będących w nielegalnym obrocie zawierało wypełniacze.

— Jak masz na imię? — Próbował przekierować wywiad na spokojniejsze wody.

— Ewa. A ty?

— Adam.

— Adam? Jestem w raju? — Na twarz wypłynął głupawy uśmiech, z uchylonych ust wysunął się język.

— Jestem w raju. Dajcie jabłko. Jestem w raaajuuu! — zawodziła.

— Nie tym razem, masz szczęście. Schowaj język, bo sobie odgryziesz.

Szczękościsk i zgrzytanie zębami stanowiły jeden ze skutków ubocznych.

— Rumcajsiku. — Złapała go za brodę. — Rozbójniku.

— Podaj jej kroplówkę, zanim się odwodni — zwrócił się do pielęgniarki. — I przypnij pasami, bo nam wyląduje na glebie, jak przyjdą potwory, żeby ją zjeść.

Pielęgniarka podeszła z naczyniem, do którego pacjentka zwróciła zawartość żołądka. Pozycja pielęgniarek plasowała się w hierarchii wyżej niż ratowników, ale Adam wychodził z założenia, że zespół na jego zmianie stanowi grupę wspierających się ludzi, nie marnowali czasu na animozje, skupiając się na udzielaniu niezbędnej pomocy. Był lubiany przez kolegów, nie wspominając o koleżankach. To wiele ułatwiało.

— Pobrać krew? — odezwała się młoda kobieta, przewiercając go wzrokiem. Na SOR-ze pracowała od niedawna i choć nie wiedziała, czy jest z kimś związany, wodziła za nim maślanymi oczami.

— Pobrać. Dzięki. — Zignorował niewerbalne sygnały.

Manekiny w recepcji dały znak życia, błyskając oczami.

Raz na jakiś czas któryś przespacerował się po korytarzu, prostując kości.

— My tu godzinami czekamy, a taką karetka przywiezie i proszę, pierwsza — narzekał starszy człowiek w spodniach za dużych o dwa rozmiary. Ściągnął je paskiem, żeby nie zsunęły się niespodziewanie. Koszulę o stanowczo zbyt długim kołnierzu wetknął do środka, pomijając wystający kawałek na plecach.

— Było na karetkę dzwonić, by pana już załatwili — odpowiedziała pulchna kobieta z opatrunkiem na dłoni.

— Jak mi nogi nie urwało, to muszę przyjść sam. Tak mi powiedzieli kiedyś. Tak powiedzieli. Uwierzy pani?! Pokiwała głową, co mogło zostać odebrane jako przytaknięcie. Kolorowe światła wdarły się do środka, zwiastując pojawienie się kolejnego pacjenta.

— Do rana tak będziemy czekać i się nie doczekamy. Mówię pani. Prędzej mnie tu szlag trafi, a oni będą udawać, że zajęci.

Brodaty ratownik wyszedł poza zasięg wzroku manekinów. Czternasta godzina dyżuru zasługiwała na przynajmniej kwadrans przerwy. Nie zwykł brać dwóch dyżurów z rzędu, dwanaście godzin wystarczająco odzierało go z sił. Nie zawsze jednak miał wybór.

Zapadł się w miękkim fotelu i przymknął oczy. To były bardzo komfortowe warunki, zdarzało mu się spać na stojąco. Nauczył się zasypiać na rozkaz, a zegar biologiczny doskonale wiedział, kiedy mijało piętnaście minut. Chyba że wcześniej otrzymał wezwanie do nagłego przypadku.

Poczuł na udzie wibracje telefonu, postanowił je zignorować. Gdyby był potrzebny na sali, przyszliby po niego. Uspokoiło się, po czym komórka ponownie drgnęła w kieszeni. Sięgnął po nią, nie otwierając oczu.

— Wniesione, kierowniku. Podjedzie pan do biura po klucze? — Tubalny głos odbijał się echem od pustych ścian.

— Zostawcie u dozorczy.

— Jak go znaleźć?

— Może po tabliczce z napisem „dozorca”? — Zakończył połączenie.

Poruszał głową na boki, splótł palce i wyciągnął ręce ponad głową najwyżej, jak zdołał. Coś gruchnęło w kościach, nie powodując jednak bólu.

— *Show must go on* — zaintonował, a fotel zaskrzypiał do wtóru, gdy się z niego podnosił.

— Długo jeszcze? — Irytacja w głosie Konrada przybrała na sile.

Małgorzata objęła rękami ramiona i pogładziła mokrą skórę. Próbowała zapanować nad mimowolnym drżeniem ciała, ale mięśnie nie chciały współpracować. Kilka głębokich wdechów uspokoiło kołatanie serca, wystarczy na początek.

— Sekundę — odparła.

Mokrą dłonią przesunęła po zaparowanym lustrze. Kobieta w odbiciu wpatrywała się w nią zdeorientowanym wzrokiem. Pojedyncze krople spływały po kręconych włosach, chowając się w zagłębieniu obojczyka.

— Wychodzisz wreszcie? — naciskał.

— Moment — rzuciła głośniejszym głosem.

Nieregularne rozstępy rozlewały się po spodniej stronie niedużej piersi. Końcem palców ugniatała miękką tkanę, przesuując badawczo kolistymi ruchami. Po chwili trafiła na zgrubienie. Jednak nic się jej nie przywidziało. Oderwała rękę i zacisnęła dłonie na krawędzi umywalki, zmuszając się do głębokiego wdechu. Nie może zemdleć, nie teraz. Wypuściła powietrze ustami i powtórzyła czynność kilkakrotnie. Opanowała drzenie ciała, jednak nie mogła zaprzeczyć istnieniu guzka w piersi. Owinęła się mocniej ręcznikiem. Wieczór i bez takich niespodzianek zapowiadał się wymagająco. Otworzyła drzwi, uderzając nimi Konrada.

— Podglądasz mnie? — zażartowała.

— Ta... Okupujesz łazienkę od czterdziestu minut, a za chwilę mi powiesz, że drugie tyle potrzebujesz na makijaż i inne pierdoły. Jak będą korki, to się spóźnimy.

— To pojedź sam.

— Znowu zaczynasz? — Pokręcił głową. — Za każdym razem to samo.

— Nie mam o czym rozmawiać z tymi ludźmi. Mógłbyś choć raz odpuścić.

— Cudujesz.

Gdyby to zależało od Małgorzaty, zakopałaby się pod kołdrą z książką, obejrzała kolejny odcinek serialu albo sprawdziła klasówki, które obiecała oddać po weekendzie. Cokolwiek, byle odsunąć czarne myśli do czasu konsultacji z lekarzem. Konrad odkręcił kurek z wodą, co definitywnie zakończyło negocjacje. Gosia mokrymi stopami znaczyła drogę do sypialni. Ślady bledły powoli, aż zniknęły całkowicie. Wszystko w życiu ma swój kres.

— Jezus maluuusieńki... — Spod prysznica dobiegał śpiew Konrada.

— ...załóż se spodenki — dokończyła, ale nie mógł tego usłyszeć.

Na corocznym przyjęciu wigilijnym, z obowiązkowymi uśmiechami i udawaną życzliwością, pracownicy korporacji pojawiali się w towarzystwie małżonków. Szczęśliwie od gości nie wymagano dzielenia się opłatkami, zastępując go życzeniami wygłaszanymi przez prezesa, z lampką wina w rękę i lekko zmaconym spojrzeniem. Każdego roku pojawiał się z nową kobietą u boku, jedyną stałą pozostawał kieliszek, jakby w zakresie obowiązków wpisano miłość do wysokoprocentowych trunków na dobre i na złe. Sprężyny łóżka ugięły się, gdy Małgorzata usiadła na brzegu. Z listy kontaktów w telefonie wybrała numer Klaudyny.

— Nie mów tylko, że nie masz co na siebie włożyć — usłyszała głos przyjaciółki.

— Z twoich ciuchów i tak nie miałabym pożytku. Nie wszystkim jest dane wyglądać jak Claudia Schiffer.

— To o co chodzi? Mam cię wyrwać z tej niasiadowy? Zadzwoń w połowie i powiem, że Pola miała wypadek.

— Lepiej nie. Obawiam się, że na Konradzie nie zrobiłoby to wrażenia. Lizanie tyłka szefowi ma wyższy priorytet.

— Jakkolwiek nie przepadam za twoim mężem, to grubo przesadziłaś.

— Wiem, przepraszam. Nie mam nastroju na tę farsę. — Wypuściła głośno powietrze. — Wzięłam prysznic.

— O! Gratuluję. Mnie też się czasem zdarza. To jakaś przełomowa chwila w twoim życiu? — drwiła Klaudyna.

Małgorzata wybuchła płaczem.

— Hej, co jest, Małgo? — Przyjaciółka się zaniepokoiła.

— Umieram — wychlipała.

— Możesz jaśniej? Leżysz na podłodze w kuchni i wykrwawiasz się z tętnicy? Skoro zadzwoniłaś do mnie, równie dobrze mogłaś wstukać sto dwanaście.

— Dzięki, dobrze mieć wsparcie.

— Do rzeczy, mała.

— Wyczułam guzek.

Zaległa cisza.

Małgorzata знаła statystyki, dwadzieścia pięć procent szans na rodzinny scenariusz grozy. Obiecała sobie, że nie da się zaskoczyć chorobie, tymczasem mikroskopijne zgrubienie w piersi rezonowało z paraliżującym strachem.

Z Klaudyną przyjaźniła się od zawsze, wiedziały o sobie więcej niż mężczyźni przepływający przez ich życie. Co prawda Małgorzacie Konrad ślubował na dobre i złe, ale Klaudyna z żadnym nie wiązała się na dłużej niż pół roku.

— Umów się na konsultację u Ostrego. Niech da ci skierowanie na mammografię czy przynajmniej USG. Guzek nie musi oznaczać najgorszego, wiesz o tym. Daj sobie na wstrzymanie z czarnymi myślami, a ja jeszcze nie zacznę pisać mowy pogrzebowej. Okej?

Odpowiedziała jej cisza, ale wiedziała, że przyjaciółka uważnie słucha.

— Wskakuj w kieckę i zawróć w głowie tym menedżerom, którzy stracili wiarę we własne klejnoty, zastępując je zegarkami o wartości mojego samochodu.

— Chyba nie doszacowałaś. — Małgorzata się uśmiechnęła. Niewyszukany dowcip odniósł skutek.

— Zrób się na bóstwo i zaszalej. Przejmuję na dzisiejszy wieczór zamartwianie się, jutro oddam bez żalu. Stoi?

— Ale co?

— *Deal*. Umowa.

— Spróbuję.

Konrad zakręcił wodę.

— Kończę, pogadamy jutro.

Wcisnęła czerwone kółeczko, nie dając Klaudynie szansy na pożegnanie. Zanim otworzyły się drzwi łazienki, co zajęło dwadzieścia minut, zdążyła nałożyć delikatny makijaż. Podciągnęła do góry brwi, marszcząc czoło. Oczy znów wyglądały jak wtedy, gdy miała dwadzieścia lat. Pozwoliła wrócić brwiom na swoje miejsce, opadająca górna

powieka pomniejszyła wizualnie oczy. Pozostawało albo zrobić lifting, albo przywyknąć. Żadna z opcji nie wydawała się satysfakcjonująca.

Mężczyzna pachniał wodą po goleniu, za którą nie przepadała. Przerzedzone włosy posmarował brylantyną — nie tylko nadawała im blasku, ale także trzymała fryzurę w ryzach.

Przeszedł nago do sypialni, zerkając kontrolnie na po-
-kój córki, z którego dobiegały odgłosy gry komputerowej. Pomimo pięćdziesiątki i kilkunastu lat małżeńskiego stażu nagie ciało męża nadal robiło wrażenie na Małgorzacie. Przyglądała się, jak pracują mięśnie pośladków, gdy wciągał slipy.

Nieskazitelną białą koszula pachniała niebieskim lenorem. Mankiety spiął złotymi spinkami, a w klapę marynarki wetknął pins z logo firmy. Nosił go dumnie jak order, najchętniej paradowałby z nim także podczas prywatnych imprez. Obrzucił żonę spojrzeniem.

— Gotowa?

— Yhm. Ujdzie?

Chciała usłyszeć, że wygląda zjawiskowo, ale zadowoliliby ją zwykłe „ładnie”.

— Ta.

Nie wysilił się na udawany komplement. Więcej uwagi poświęcił kaktusowi, którego dostał w prezencie od klienta. Małgorzata nie należała do kobiet fundujących sobie na każdą okazję nową sukienkę. Jeśli już coś kupowała, to z myślą o funkcjonalności i wygodzie. Na co dzień preferowała dżinsy i luźne bluzki, które tuszowały niewielki wałeczek tłuszczu w okolicach talii. Do pracy w szkole dorzucała marynarkę albo kardigan. Wiedziała, że podczas wigilijnej kolacji w firmie męża odbędzie się rewia mody, dlatego na przekór panującym trendom postawiła na prostotę. Wąska ołówkowa spódnica opinała bujne biodra, kończąc się poniżej kolan. Kremowa koszulowa bluzka z szyfonowymi rękawami i odpiętym guzikiem pod szyją, w zestawieniu z koronkowym stanikiem powinna uruchomić męską wyobraźnię i zwrócić uwagę kobiet. Całości dopełniały jedyne szpilki, które trzymała w szafie na podobne okazje. Czarne, kręcone włosy spięła na karku, odsłaniając wąską szyję. Kiedyś nosiła rozpuszczone włosy. Lubiła, gdy stawał za nią, odgarniał na bok niesforne loki i całował, delikatnie przesuwał językiem wzdłuż nagich ramion.

Wyczuła obecność męża za plecami.

— Idziemy? — Niecierpliwił się.

— Taksówka już czeka? — zapytała lekko rozczarowana.

— Za chwilę pojedzie.

Nie sypiali ze sobą od miesięcy, nie mogła oczekiwać, że właśnie dzisiaj, teraz, zerwie z niej ubranie i rzuci na kuchenny stół. Wystarczyłoby zwykłe łóżko, ale to także wydawało się poza zasięgiem. Czasem próbowała jeszcze kusić go opadającym ramiączkiem stanika, szeptała gorące czułości, ale albo nie dostrzegał starań, albo udawał, że

ich nie widzi. Gdy odważyła się zakomunikować swoje potrzeby, wykręcał się zmęczeniem.

— Twój etat wynosi połowę mojego, a dodaj do tego nadgodziny i delegacje. Mam prawo czuć się wycieńczony. Nie wszyscy kończą pracę w okolicach południa.

— Trzeba było wybrać studia pedagogiczne, pracowałbyś mniej — odgryzła się.

— I mniej zarabiał.

Aspekt finansowy zwykle ucinął dyskusje. Konrad nie pojmował, że zaangażowanie żony wykraczające poza goły etat wynikało z troski o dzieciaki, a zawód nauczycielki był jej powołaniem. Dla niego miarę sukcesu stanowiło pięcie się po szczeblach kariery, nawet kosztem innych, choć nie przyznałby tego otwarcie. Chorobliwa ambicja wykradała jej męża, a pretensje rzucane wprost pogłębiały przepaść między małżonkami.

— Polu, wychodzimy — krzyknął, wkładając płaszcz. — Pola! — rzucił po chwili głośniej.

Nastolatka wyszła z pokoju wyraźnie niezadowolona.

— Coś nie tak? — spytał tonem, który nie akceptował sprzeciwu.

— Bawcie się dobrze, zamknę za wami.

— Pa, córeczko. — Małgorzata nachyliła się, żeby pocałować córkę w policzek, ale dziewczyna odsunęła się ze zgorzszą miną.

— Pogięło cię, kobieto.

— Apolonio! — Ojciec chłodnym wzrokiem otaksował dziewczynę i nie czekając na odpowiedź, wyszedł na korytarz.

Wilgotne schody świadczyły o tym, że pan Edmund, dozorca, przetaił je niedawno. Dało się słyszeć miarowe szuranie szmaty o posadzkę na niższych piętrach. Starszy pan kończył wycierać sień, czego z pewnością nie doceni jesienna plucha, którą mieszkańcy wniosą na butach. Stopa Konrada ujechała na ostatnim schodku, w ostatniej chwili złapał za poręcz, unikając skręcenia kostki.

— Oszalał pan! — wrzasnęła na wystraszonego staruszka.

— Nic się panu nie stało? — Sprzątaacz się zaniepokoił.

— Może pomogę...

— Daj mi spokój, człowieku.

Wyszedł na zewnątrz. Zimny wiatr wdarł się do środka, trzaskając drzwiami, których Konrad nie przytrzymał żonie.

Zmieszana kobieta skinęła głową, co miało znaczyć „dobry wieczór” i „przepraszam”. Lubiła dozorcę, dbał o porządek bardziej niż jego poprzedniczka. Za jej czasów jeśli w niedzielę spadł śnieg, chodnik musiał poczekać na uprzątnięcie do następnego dnia. Pan Edmund, zanim jeszcze oficjalnie objął funkcję dozorca kamienicy przy ulicy Ostrogórskiej, własnoręcznie odśnieżał schody i posypywał solą w trosce o mieszkańców. Większość lokatorów darzyła go sympatią, szczególnie starsza część miała czas

na sąsiedzkie pogaduszki. Młodszych irytował, pouczając w kwestiach bezpieczeństwa. Nie było zagadką, że w młodości chciał zostać strażakiem, ale większą część życia spędził w pobliskim zakładzie, udzielając się przy produkcji tapicerki samochodowej. Gdy Małgosia zapytała kiedyś, co przeszkodziło mu w realizacji marzenia, odpowiedział, że nazwisko.

— Edmund Piroman, starszy sekcyjny Państwowej Straży Pożarnej. — Salutował jak w wojsku. — Jak by to brzmiało, pani Małgosiu, no jak — dopowiadał smutnym głosem.

Trzasnęła drzwiami taksówki mocniej, niż zamierzała. Kierowca spojrział złowrogo. Nie zamierzała się nim przejmować, za to zdecydowała, że nie przemilczy zachowania Konrada.

— Dlaczego wyżywasz się na innych? — rzuciła ostro.

— Masz na myśli tego ciecia?

— Dozorcę. Tak. To było nieuprzejme z twojej strony.

— Podobnie jak publiczne zwracanie uwagi mężowi — dodał ściszym głosem.

Resztę drogi do restauracji pokonali w milczeniu. Konrad zapłacił za przejazd, wyszedł z samochodu i ku swemu niezadowoleniu stwierdził, że pada. Zawrócił i przez uchylone okno wrzucił kierowcy napiwek.

— Pięćdziesiąt złotych, oszalałeś — obruszyła się Małgorzata.

— Cicho bądź, szef.

Przed wejściem stał mężczyzna z parasolem w dłoni, którym osłaniał młodą kobietę. Pomachał przyjezdnym na przywitanie.

— To jego córka? — rzuciła zdziwiona Małgorzata.

— Partnerka.

— A pełnoletnia chociaż?

Zbył tę uwagę milczeniem.

Dziewczyna wyglądała na niewiele starszą od uczennic z liceum, w którym uczyła. Z pewnością gruba warstwa makijażu dodatkowo ją postarzała, ale i tak nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia, dwadzieścia trzy lata. Najwidoczniej jej towarzysz posiadał atuty, które trudno było dostrzec gołym okiem.

— Witam piękną małżonkę Konrada, miło znów panią widzieć. — Skłonił się nisko i była pewna, że gdyby miał kapelusz, zdjąłby go z głowy i przyłożył do piersi na znak głębokiego szacunku.

— Dzień dobry państwu. — Skinęła głową.

— Proszę, wejdźcie, drogie panie, szkoda fryzur.

Prezes uchylił ciężkie skrzydło.

„Szkoda czasu”, pomyślała, ale odpowiedziała mu uśmiechem.

Okrągły zegar zawieszony na ścianie szpitalnej recepcji przesuwiał wskazówki w ślimaczym tempie. Adam czuł się

wycieńczony, nawet nie zmęczony, ale właśnie wycieńczony. Wiedział, że po powrocie do domu nie zaśnie od razu. W warunkach szpitalnych organizm funkcjonował jak żołnierz przyjmujący rozkazy bez dyskusji, w warunkach rozprężenia — jak dezertor. Naciągnął w dół koszulkę, napis „ratownik medyczny” rozciągnął się jak sprężyna, po czym powrócił do formy.

— A ten co tu znowu robi? — zwrócił się do kolegi, pokazując brodą człowieka w rogu sali.

Mężczyzna w brudnym ubraniu trzymał się poręczy łóżka, co chroniło go przed upadkiem. Odór alkoholu mieszał się ze słodkawym smrodkiem, świadczącym o tym, że nie mył się co najmniej od kilku tygodni.

— Żulian? Zaopatrzyłem go rano, ale pewnie po tym, jak wyszedł, wsparł go w nieszczęściu któryś wzorowy obywatel. Panie daj, panie głodny, litości. Zamiast zafundować obiad, wolą dać piątaka na odczepnego. Grosik do grosika i idzie na przelew. Ile teraz takie patykiem po wodzie pisane? Dycha, mniej?

— Mnie nie pytaj. Z czym przyszedł?

— Wyrznął o coś. Dwa szwy załatwią temat, ale najgorsze, że wyuczył się skurczybyk, co mówić, żeby zapewnić sobie nockę w łóżku, a nie, jak zwykle, pod mostem. W takim stanie nie przyjmie go nawet sam Brat Albert ani Duch Święty. A my musimy.

— Pogłębiona diagnostyka?

— Nie mam wyjścia. Żulian, wróć, człowieku. — Brodac przyspieszonym krokiem odszedł w kierunku pacjenta, któremu ciekawość kazała sprawdzić, co ukrywają parawany z leżącymi za nimi ludźmi. — Połóż się, bo każę cię przypiąć.

— Nie. Jem. Żab — cedził przez zęby pacjent.

— Nie szkodzi, i tak nie mamy w karcie.

— Nie jestem żabojadem.

— A kto mówi, że jesteś?

— Kto mówi, ten mówi. Ty mówisz. — Z pretensją wbił palec wskazujący w ramię ratownika. — Żulian to po francusku. Nie jestem światowy, żab i ślimaków nie jadam. Albert ma dobre zupy, wystarczy mi. Środy i piątki od szesnastej. Poniedziałki i czwartki Caritas, a w weekendy Armia Zbawienia. Jeszcze Klubokawiarnia.

— Zorganizowany jesteś.

— Mus to mus.

— Skąd to masz? — Wskazał na bliznę ciągnącą się wzdłuż kłykci prawej dłoni.

Pacjent cofnął rękę.

— Jak masz na imię?

— W karcie znajdziesz.

— Ty mi powiedz, jesteśmy kumplami.

— Chyba kundlami.

— To jak?

- Julian. Dla przyjaciół Julek.
- Nie powiem, że miło cię widzieć, Julek, ale zrobimy...
- Nie jesteśmy przyjaciółmi! — przerwał ratownikowi.
- Dla ciebie Żulian.

Ratownik pokręcił głową z niezadowoleniem. „Obywatele świata”, jak ich nazywał, stanowili nieodłączny krajobraz SOR-u. Z powodu upojenia alkoholowego często nie byli w stanie przejść kilku kroków o własnych siłach. Personel transportował delikwentów, którzy wyrażali niezadowolenie, okładając pięściami powietrze. Na stek wyzwisk, w których „jebane chuje” było jedną z lżejszych obelg, dawno się uodpornili. Nie odbierali nikomu prawa do leczenia, nawet jeśli jedyny podatek, jaki ci kiedykolwiek uiścili, to akcyza. Choroba alkoholowa nie kwalifikowała się na SOR. Gruźlica, HIV, clostridium, żółtaczka. Codziennie ryzykowali własne zdrowie i życie.

Adam wyczekiwał końca dyżuru. Walka, którą stoczył z panią o nienagannej, przypominającej kształtem kask fryzurze, wysłała ostatnie siły. Ilość lakieru do włosów nie pozwoliła na niesforne zachowanie choćby pojedynczego kędziorka. „Ból brzucha i wzdęcia od tygodnia” — widniało na karcie triage. System sortowania umożliwiał służbom medycznym segregację rannych w wypadku masowym w zależności od stopnia obrażeń i rokowania, ale sprawdzał się także na SOR-ze. Odmówił przyjęcia na oddział, sugerując wizytę w przychodni rejonowej, co wywołało w kobiecie lawinę gniewu. W końcu sięgnął po ustawę PRM z dwa tysiące szóstego, używając przy tym słów powszechnie uznanych za obelżywe. Poskutkowało.

— Niech się pani rozejrzy, tutaj ludzie umierają! Może w tym momencie ktoś wykrwawia się wewnętrznie po urazie, a zobaczę to dopiero po tomografii, którą wykonam o dziesięć minut za późno. Dziesięć minut, które zajęła mi pani i pani wzdęcia, do kurwy nędzy!

Kobieta w kasku zaniemówiła.

— W myśl ustawy o Państwowym Ratownictwie Medycznym odmawiam dalszej diagnostyki — rzucił zdecydowanie.

Kobieta wyglądała, jakby nie zrozumiała, więc dodał: — Brak stanu nagłego zagrożenia zdrowotnego. Proszę pójść do przychodni rejonowej. Następny!

Możliwe, że ściągnął na siebie kłopoty. Nie pierwszy raz, wybroni się, jeśli paniusia złoży skargę. Powinien panować nad sobą, dla dobra pacjentów, dla swojego dobra, ale deficyt snu, przemęczenie i ssanie w żołądku przejęły kontrolę. I jeszcze ta przeprowadzka.

Odetchnął głęboko, ogarnął wzrokiem kolejkę oczekujących. Nie malała, choć personel pracował nieustannie.

Wystylizowane wnętrza subtelnie rozświetlało nastrojowe światło, a wygrywane na fortepianie dźwięki muzyki przydawały temu miejscu elegancji. Do świąt pozostawał

miesiąc, ale kolejka firm chcących urządzić tu spotkanie wigilijne dla pracowników przekraczała możliwości nowej śródziemnomorskiej restauracji, dlatego pierwsze przyjęcia zaczęto uskuteczniać pod koniec października. Ciekawa była, w jaki sposób wybitni kucharze, specjalizujący się w przysmakach kuchni hiszpańskiej, włoskiej czy greckiej, poradzą sobie z pierogami, grochem z kapustą i czerwonym barszczem z uszkami. Z zamyślenia wyrwał ją wybuch śmiechu dobiegający z głównej sali.

Stół ustawiony na kształt litery U pomieścił już większość zaproszonych gości, którzy czas oczekiwania na prezesa umilali sobie trunkami. Przed panami panoszyły się kufle z piwem, kobiety zaś postawiły na kolorowe drinki lub wino. Na widok wchodzącego szefa nastąpiło ogólne poruszenie.

— Wesołych świąt! — krzyknął prezes ku uciesze zgromadzonych, na co odpowiedziała kakofonia dźwięków wydobywająca się z gardeł lekko podchmielonych menedżerów.

Małgorzata rozglądała się, próbując wypatrzeć puste miejsca, kiedy podszedł kelner i wskazał miękkie krzesła po prawicy prezesa. Nie wiedziała, czy pozostawiono je puste przez wzgląd na pozycję Konrada w firmie, czy zwyczajnie mieli pecha.

— Kochani moi, najlepsi z najlepszych, nieprzejednani zdobywcy, siło napędowa naszego wspólnego sukcesu, witajcie!

— grzmiał prezes ku uciesze gawiedzi. — Zanim złożymy zamówienia i napełnimy usta cudownościami, jakie oferuje ten lokal, najpierw połammy opłatkami. Małgorzata zamarła. Oszacowała, że na sali znajduje się około czterdziestu osób, w stosunku do których miała jedno zasadnicze zastrzeżenie: byli obcy, a w jej przekonaniu w takich okolicznościach życzenia powinny ograniczyć się do zwyczajowego „wesołych świąt”. No chyba że tylko do prezesa ustawi się kolejka *groupies* i zostaną z niej wyłączone osoby towarzyszące.

— Maestro — zwrócił się do muzyka przy fortepianie, a ten skłonił się, zamknął przednią pokrywę, pod którą zniknęły klawisze, i wymknął na zaplecze. Po chwili z głośników wybrzmiała kolęda *Bóg się rodzi*.

— Niechaj ten oto chleb życia — prezes pomachał opłatkami — będzie symbolem naszej jedności, siły, spełnienia marzeń i da nam moc i wiarę w to, że jako firma jesteśmy niezwyciężeni.

Rozbrzmiały owacje i oklaski.

— Wam i waszym rodzinom, kochani, z całego serca, nieustającego pasma sukcesów i szczęśliwego nowego roku.

Hip, hip.

— Hurra!

— Hip, hip.

— Hurra!

— Hip, hip.

— Hurra! Hurra! Hurra!

Przebiegła wzrokiem po zebranych, ale nie dostrzegła na ich twarzach konsternacji. Obsługa taktownie wycofała się do przyległych pomieszczeń w obawie, że nie zdoła powstrzymać wybuchów śmiechu. A może nie miała racji, może przywykli do osobliwego zachowania gości. Pomimo że restauracja została otwarta niedawno, kelnerzy wyglądali na doświadczonych. Z pewnością niejedno w życiu widzieli, a usunięcie się z widoku stanowiło wyraz taktu. Poczowała, że Konrad lekko przyciągnął ją ku sobie.

— Co mówiłem, uśmiechaj się — cedził przez zęby.

Mimowolnie przywołała grymas ust, któremu nikt, kto ją zna, nie dałby wiary.

Kolędy zostały z nimi przez całe spotkanie, niestety fortepian zakończył dzień pracy. Nie doczekała się też pierogów ani kapusty z grzybami. Kalabryjska zupa rybna zastąpiła tę z karpia, a pularda z gorącej patelni, czyli pierś z kurczaka w sosie truflowym z aromatycznym ratatouille, co wygooglowała pod stołem, musiała zrekompensować brak typowych dań wigilijnych. Małgorzata wymieniała grzecznościowe uśmiechy, rozmawiała o najnowszych technikach stylizacji paznokci i obowiązujących trendach w modzie. Choć głównie przytakiwała, dorzucając od czasu do czasu „aha”, „yhm”, „no tak”, „oczywiście”, „naprawdę? a to ciekawe”. Nie wiedziała, czy konwencja spotkania wymusza na tych ludziach brak dyscypliny umysłowej, czy też nie stać ich na głębsze refleksje.

— Chwalił się już? — zapytał prezes, nachylając się ku niej stanowczo zbyt blisko. — Koniu, chwaliłeś się żonie? — zwrócił się do Konrada. Głowa kiwała się niepewnie na wątlej szyi, co upewniło ją, że naruszeniu prywatnej strefy winne były procenty, a nie zawoalowane umizgi.

— Nie zdążyłem.

— Nie zdążyłeś przez miesiąc powiedzieć o nowym nabytku

— prychnął.

— Dostałeś ekspres na wyłączność? — wypaliła.

Konrad narzekał, że musi odrywać się od pracy, ilekroć chce zaparzyć kawę. Maszyna stała w kuchni drugiego skrzydła biurowca. Niektórzy wyposażyli się w kapsułkowe minicuda, oszczędzając czas na spaceru.

— Asystentka — doniósł Pan Giętka Szyja z dumą. —

Na wyłączność.

Małgorzata spojrzała na męża, jakby nie wierzyła w to, co usłyszała.

— A, asystentka. Oczywiście, że mówił. Przepraszam, rozkojarzona jestem. — Pokryła zażenowanie uśmiechem.

— Trochę tu głośno.

— Takiej perełki to nawet ja nie mam. W gabinecie — wyjaśnił. — Bo w domu i owszem. Też od miesiąca.

Poklepał małą partnerkę po udzie, nawet nie patrząc na nią. Dziewczyna odwróciła się, czując dłoń przesuwaną się coraz wyżej, co najwyraźniej wcale jej nie przeszkadzało. Tłusta łapa prześlizgnęła się po brzuchu szybkim ruchem, chwytając za pierś.

— Wrr, moja lwica.

— Tygrysie, powinniśmy wracać. — Małgorzata zwróciła się do męża. — Bardzo dziękujemy, panie prezesie.

Przepyszna kolacja, wybór restauracji zapewne nieprzypadkowy.

— Oliwia wyszukała, moja asystentka. Menu także. —

Konrad, mimo że zwracał się do żony, spojrzenie wbił w prezesa, który dorzucił ścisłym tonem:

— Pomysł z kołędami też był jej. Tego fortepianisty nie zniósłbym przez cały wieczór.

— Jest tutaj? Przedstawisz nas sobie? — Małgosia rozejrzała się po zebranych. Starła się mówić naturalnie, ale w jej głosie dało się wychwycić pretensje.

— Nie mogła dołączyć do nas, jakieś rodzinne sprawy.

Dziękujemy, szefie. Klasa sama w sobie. — Podniósł się z krzesła.

Ciekawiło ją, czy ostatnia uwaga dotyczyła kolacji, czy Oliwii. Nie mogła żywić urazy do męża, umówili się, że nie będą się zdręzczać opowieściami o życiu zawodowym. Konrada nie interesowały problemy młodzieży, którym starała się sprostać jako pedagog, a ona sama puszczała mimo uszu opowieści o przełomowej technologii wycinarek laserowych i automatyzacji procesów produkcji. Jeśli pojawiał się temat pracy, to tylko w kontekście kolejnego wyjazdu służbowego mężczyzny.

— Dzwonisz po taksówkę? O nie, mój najlepszy pracownik nie będzie wracał do domu taksówką. Zaczekaj. —

Prezes wyciągnął iPhone'a 13 i mrużąc oczy, próbował się z kimś skontaktować.

— Naprawdę nie trzeba, szefie.

— Halo, Kazik. — Powstrzymał Konrada, wyciągając ku niemu otwartą dłoń. — Migusiem mi tu. Koniu z małżonką nas opuszczają. Zawieziesz państwa do ich pałacu.

Przytaknął ruchem głowy, czego rozmówca nie mógł zarejestrować.

— Bardzo dziękujemy. — Koniu kiwał głową jak piesek-zabawka z czasów PRL w jadącym samochodzie. — W poniedziałek na placu boju. Do zobaczenia.

Rzucone w przestrzeń „dobranoc” musiało wystarczyć pozostałym, ale złało się z głosem braci Golec, wyśpiewujących energicznie *Pójdźmy wszyscy do stajenki*. Zanim zamknęły się wahadłowe drzwi, prezes zawołał:

— Koniu!

Odwrócili się oboje.

— Hip, hip — zaintonował prezes.

— Hurra! Hurra! Hurra! — odkrzyknął Konrad, skracając zawołanie.

Na zewnątrz czekało białe bmw X5. Szofer otworzył tylne drzwi Małgorzacie. Obszedł samochód, próbując powtórzyć czynność dla Konrada, ale ten tylko poklepał kierowcę po ramieniu.

— Dzięki, Kazimierzu, dam sobie radę.

Drogę do domu, podobnie jak kilka godzin wcześniej tę do restauracji, pokonali w milczeniu, choć z zupełnie innego powodu. Konrad z obawy, by żonie nie wyrwał się jakiś komentarz dotyczący prezesa. W końcu jechali jego samochodem, z jego kierowcą. Małgorzata nie potrafiła określić powodu wewnętrznego rozbicia. Czuła niepokój, za który obwiniła wymacany guzek w piersi. Ku jej zaskoczeniu kilka ostatnich godzin pozwoliło zapomnieć o strachu.

Jednak wrócił i trzymał za gardło. Wiedziała, że nie puści, dopóki nie wykona biopsji.

— Umieram — wyszeptała.

— Ja też — odpowiedział Konrad. — Ze zmęczenia.